

Notatki ze Szkoły wspólnoty z ks. Juliànem Carrónem

Rzym, 26 października 2011 r.

Teksty będące punktem odniesienia: *Zmysł religijny*, rozdz. X, ss. 161-174 oraz *Zawsze intensywnie przeżywać rzeczywistość* [Tekst z inauguracji roku pracy, 1 X 2011 r. w Mediolanie).

Piosenki:

– *Il mister*

– *Alecrim*

Chwała Ojcu...

Kontynuując naszą pracę nad Szkołą wspólnoty, chciałbym rozpocząć od lektury pewnego listu, który jest jakby włożeniem palca w ranę trudności, w jakiej niejednokrotnie się znajdujemy. Pisze ktoś tak: „*Zdumienie obecnością jest dla mnie jasną sprawą. Natura uderza mnie, moja żona i moje dzieci zdumiewają mnie, piękne popołudnie spędzone wspólnie z przyjaciółmi zdumiewa mnie, wzbudzając szczerą wdzięczność za to, co jest mi dane. Piękne rzeczy przywołują mnie do ich Stwórcy. Ale rozproszenie i troski przesłaniają ten osąd: trudności w pracy, relacje w pracy często naczynowane jedynym kryterium osądu, jakim jest korzyść mojego działania (spróbuj wyobrazić sobie w tym okresie powody do zadowolenia), stres w pracy, nieporozumienia w rodzinie, niepewność co do przyszłości. Otóż, wszystkie trudy życia pokazują mi, jak chwiejna i niestała jest fascynacja rzeczywistością. Skutkiem tego jest brak zainteresowania rzeczami oraz jakieś zasmucenie, niezdolność do uznania jakiegś pozytywności w całej rzeczywistości, szczególnie w tej pozornie nieprzychylnej. Z pewnością jest to problem małej wiary, którą chciałbym poprawić [pogłębić], ale pytam cię, jak to jest w twoim przypadku i czy możesz pomóc nam zrobić kolejny krok?*”.

Wydaje mi się, że autor listu dobrze opisuje sytuację wszystkich: w jakimś momencie trudno nie przyznać, że zostaliśmy uderzeni przez rzeczywistość lub przez nią zadziwieni, jednak różne trudności, rozproszenie, troski, trudności w pracy, relacje, itp. „przesłaniają ten osąd”. A wtedy rezultatem jest łatwy do przewidzenia: brak zainteresowania rzeczami, zasmucenie. Gdy to bierze górę, wtedy żyjemy tak, jak wszyscy: jest dobrze, gdy wszystkie sprawy toczą się dobrze, jest źle, gdy

rzeczy idą źle. W takiej sytuacji, tym, co na koniec zostanie podane w wątpliwość, będzie osąd: a zatem rzeczywistość, w ostatecznym rozrachunku, jest naprawdę pozytywna, czy też nie? Czy te wszystkie sprawy przesłaniają osąd czy go nie przesłaniają? List kończy się stwierdzeniem, że „z pewnością jest to problem małej wiary”. Co wy o tym sądzicie? Ja bowiem mówię: nie; to nie jest problem wiary, lecz rzecz dotyczy rozumu! I to jest właśnie to podstawowe wyzwanie, jakie dziesiąty rozdział *Zmysłu religijnego* rzuca każdemu z nas. Kiedy cały ten rozdział pokazuje, iż rzeczywistość, z całą jej radykalnością, z całą jej wspaniałością, jest pozytywna, to mówi prawdę czy nie? To jest osąd, który musimy dać, ponieważ w przeciwnym razie zależymy od biegu spraw, i wówczas „wszystkie trudy życia pokazują mi, jak chwiejna i niestała jest fascynacja rzeczywistością”. Dlatego pojawia się owo radykalne pytanie: czy rzeczywistość jest naprawdę pozytywna, czy też nie? Czy zależy od tego, jak będą sprawy? Już wiemy, że jeśli zależy od biegu spraw – jest dobrze, kiedy będą dobrze, ale problem pojawia się w momencie, kiedy rzeczy nie będą dobrze (a często nie będą dobrze)! A zatem, kiedy mówimy, że rzeczywistość jest pozytywna, to jesteśmy nawiedzeni [wizjonerami]? Każdy może dokonać porównania z tym, co mówi ks. Giussani, ponieważ tym jest właśnie Szkoła wspólnoty: czy my spokojnie [w pokoju ducha], z pewnością, w pełni używając rozumu możemy powiedzieć, że rzeczywistość jest pozytywna, albo jak w tym liście odnajdujemy się w tej huśtawce? Kiedy stajemy w obliczu takich sytuacji, jak reagujemy? W obliczu choroby lub kryzysu, wobec trudności w relacjach, w określonej sytuacji rodzinnej czy

jesteśmy naprawdę przekonani, że rzeczywistość jest pozytywna, albo mówimy to jedynie z powodu jakiegoś uporczywego woli („Musimy tak mówić, ponieważ jesteśmy z ruchu, ponieważ jesteśmy chrześcijanami”)? Czy możemy to powiedzieć, używając w pełni rozumu? Czy zrozumiałe jest to wyzwanie? Z tego nie możemy się wycofać, ponieważ jeśli nie wykonamy tej pracy, to nawet, jeśli będziemy przybywać tu co dwa tygodnie, to nie rozwiążemy problemu (a potem osąd nieustannie będzie uzależniony od takiego czy innego biegu spraw...). Czy osąd zależy jedynie od huśtawki naszej wrażliwości? To, że ta karta jest biała jest prawdą, albo to zależy od mojego stanu ducha, z jakim na nią patrzę? Osąd: czy moja choroba, ból zębów albo fakt utraty pracy może podać w wątpliwość osąd? Jeśli my mówimy, że jakiś welon przesłania osąd, to znaczy, że jeszcze nie nauczyliśmy się, czym jest osąd. Dlatego nas interesuje, by jak najlepiej zrozumieć, co to jest osąd. Rzeczywistość bowiem istnieje, jest, niezależnie od tego, jaką ma twarz. A to nie zależy od stanu ducha, przez jaki możemy przechodzić. To więc oznacza, że musimy na nowo uczyć się pewnych rzeczy, o których mówimy: czym jest osąd (ponieważ, zaledwie coś się w życiu wydarzy, widzimy, że nie jest to dla nas jasne). Dlaczego? Bardzo dobrze ukazuje to kolejny list: *„Drogi Juliànie. Czytając tekst z Dnia inauguracji roku uświadomiłam sobie, że nade wszystko umyka mi owo pójście w głąb rozumu, aż po dotarcie do realnego Ty, od którego pochodzę. Często nie doświadczam owego kontruderzenia i nie mam nawet świadomości tego, ale zdarza się, że ją mam. Ale jakie jest to używanie rozumu, o którym mówisz? Jest to używanie, ośmielam się powiedzieć, którego nie znam. Przejście od kontruderzenia do Ty, od źródła do strumienia w moim doświadczeniu pozostaje abstrakcyjne. Niekiedy, w pewnych okolicznościach, owo realne Ty się narzuca, ale nie trwa. Wydaje się, że nic nie jest w stanie wyrwać mnie definitywnie z tej strukturalnej niepewności: ani mąż, ani dziecko, ani niebo, ani liść, nawet ból. Wydarzenie dokonuje się, wyrwa mnie z moich przygniatających idei, otwiera szeroko na piękno życia, na miłość Chrystusa, na wdzięczność za to, że wielokrotnie zostałam ocalona; budzę się, owszem, na trochę, ale potem zamykam się na nowo. Rzeczy mają się lepiej, kiedy jestem wierna codziennej Mszy św., ale nawet to nie jest decydują-*

ce, ponieważ często „posługujemy się” Mszą św., by nie używać rozumu. Trudno mi zrozumieć, jakoby istniał sposób używania rozumu, będącego w stanie zmieniać, oddziaływać cieleśnie, wpływać na wszystko, na wymiar mojego ja; podział pozostaje”.

Wydaje mi się, że ten list wyraźnie pokazuje ową trudność. Dlaczego? Dlatego, że dla nas taki sposób używania rozumu jest nieznanym. Kiedy mówimy o „pozytywizmie”, nie wypowiadamy jakiegoś słowa skomplikowanego, odległego od naszego doświadczenia, ale opisujemy to, co niejednokrotnie w sobie odnajdujemy: używanie rozumu, które zatrzymuje się na powierzchni. Dlatego przejście od kontruderzenia do Ty, od źródła do strumienia, pozostaje abstrakcyjne, dlatego wydaje nam się, że powiedzenie: „Ty” jest czymś, co doczepiamy do rzeczywistości, ponieważ jesteśmy cokolwiek nawiedzeni [wizjonerami]. A ponieważ potwierdzamy to jedynie w wymiarze dobrej woli („ponieważ my o tym decydujemy”), to nie trwa. Jeśli mówię: „ta kartka jest biała”, to jest to rozpoznanie [stwierdzenie], mogę więc odpoczywać i relaksować się, a ona nadal będzie, nawet po pięciu latach, białą kartką. Ta kartka nie jest biała, ponieważ ja utrzymuję, że jest biała, to nie mogłoby przetrwać. Pomyślcie, że stąd możemy dojść do powiedzenia: od kontruderzenia do Ty, od źródła do strumienia. Faktycznie, ileż to razy zgłaszamy obiekcje: „Ale, dlaczego muszę dodawać Ty”, to wydaje się być pewną komplikacją – mówiliśmy o tym podczas Dnia inauguracji roku – wydaje się, że powiedzenie „Ty”, jest czymś, co dodajemy z powodu przyzwyczajenia woli (a zatem inni, ci, którzy nie są przyzwyczajeni do tego tak, jak my, mówią: „nic”, „nic”)). Wiedzicie, że możemy być tutaj i nie dokonać takiego przejścia, nie wykonać takiej pracy? Jeśli nie przystaniemy na propozycję ks. Giussanigo, aby używać rozum w prawdziwy i kompletny sposób, to później, w obliczu rzeczywistości pozostajemy nadal w owej strukturalnej niepewności – i jest czymś niesamowitym ostrość [wyrazistość] słów naszej przyjaciółki: a w konsekwencji ani mąż, ani dziecko, ani niebo czy liść nie mogą dać mi pewności, której nie mam. Czy zatem rozumiecie, jaka więc istnieje pomiędzy spotkaniem z Chrystusem a używaniem rozumu! Jeśli spotkanie z Chrystusem nie budzi na nowo rozumu i nie wprowadza nas w pełni [całokształt] rzeczywistości – a jeste-

śmy razem, aby uczyć się takiego używania rozumu, aby pomagać sobie i wspierać się w takim używaniu rozumu, zgodnie z jego prawdziwą naturą – to wszystko, co czynimy, także nasze przybywanie tu, co dwa tygodnie, jest bezużyteczne, ponieważ nie potrafi nas w zasadniczy sposób zmienić. Potem przestaje nas to w ogóle interesować, ponieważ jeśli po jakimś czasie ktoś się nie zmienia, traci zainteresowanie także tym, co sądzi, że posiada, czyli zainteresowanie wiarą. Dlatego wiara, która nie prowadzi nas do odmiennego używania rozumu, nie tylko popycha nas ku postawie pozytywistycznej, ale także sprawia, że stajemy się sceptyczni, w takiej mierze, w jakiej nie jest w stanie obudzić całkowitej zdolności osoby do uznania rzeczywistości. A zatem człowiek musi sobie postawić pytanie: czy obecność rzeczy (fakt, że rzeczy istnieją) naprawdę zakłada istnienie czegoś innego? Zaczniemy używać rozumu! Czy to jest tylko taki sposób mówienia? Wyjdźmy od najprostszego przykładu, który już wielokrotnie przytaczaliśmy, tego z kwiatami. Czy obecność bukietu kwiatów na twoim stole zakłada obecność kogoś, kto ci go podarował, czy też nie? Czy to ty stwarzasz obecność ukochanej osoby albo ona zakłada coś innego? Czy to my tworzymy obecność rzeczywistości, czy ona stwarza się sama z siebie albo zakłada coś innego? Albo my zaczniemy stawiać sobie te proste pytania, w taki sposób, by nie dać się uwięzić w klatce zredukowanego używania rozumu, albo ostatecznie, nasza wiara będzie wciąż czymś dodanym do ludzkiego „ja” – jak to ciągle powtarzam – doskonale już ukształtowanego, tak jak kapelusz na mojej głowie, który w gruncie rzeczy jest jedynie elementem dekoracyjnym, nie zmieniającym ani sposobu patrzenia, ani rzeczywistości rzeczy. Dlatego większość osób może zrezygnować z kapelusza, który w sumie jest jedynie elementem dekoracyjnym, a nie czymś decydującym o życiu. To jest sprawdzian tego, co czynimy, poczynając od 26 stycznia tego roku: albo chrześcijaństwo jest w stanie obudzić rozum, w taki sposób, by ten rozpoznawał [uznawał] rzeczywistość taką, jaką ona jest, albo my trwamy w permanentnej niepewności, a wówczas nadal trwa ów rozdźwięk, jak o tym opowiada kolejny list: *„Jest pewna kwestia, która mnie gryzie, a chodzi mi o tę huśtawkę uczuć [jeśli nie dochodzimy do dotknięcia rzeczywistości u jej źródła, tkwimy w takiej huśtawce uczuć]. Dlatego chciał-*

bym zrozumieć, jak stawać wobec spraw, które afektywnie determinują mnie do tego stopnia, że więcej mi mówią o Obecności, która je czyni, i które bardziej odsłaniają mi Jego oblicze”. Istotnie, jeśli nie dochodzimy do potwierdzenia rzeczywistości, wówczas uczuciowość waha się [dryfuje]: teraz jest tak, a po pięciu minutach inaczej, i pozostajemy na łasce i niełasce wszystkiego. Stąd też, jeśli nie przestanę jedynie powtarzać pewnych zdań, i nie zacznę się uczyć poprawnego używania rozumu, to kiedy znajdę się w zasięgu jakiegoś zamieszania, kiedy czuję, że duszę się w okolicznościach, czuję, że ze mną koniec. Ale, czy to jest wszystko, albo – także tu – fakt, że ja jestem (choć stłamszony, bez śmiechu), ja, właśnie ja, teraz, w tej sytuacji zakładam, że Ty jesteś tym, który mnie czyni? Dopiero wówczas zacznę patrzeć na samego siebie jako na kogoś, kto jest chciany przez Kogoś Innego, niezależnie od emocji, które odczuwam. A wszystko dlatego, iż potwierdzam, że mogę zmienić emocje. Tymczasem my pojmujemy rzeczy na odwrót: najpierw muszę zmienić emocje, ponieważ to one przekonują mnie, że moje „ja” istnieje. Nie! Tym, co mnie przekonuje jest rozum i dlatego mogę zmienić moje emocje! My jednak wywracamy do góry nogami te pojęcia i dlatego stajemy się ofiarami huśtawki stanów emocjonalnych, pozostając na łasce i niełasce wszystkiego. Do czego prowadzi taki brak poznania, pokazuje kolejny list: *Postanowiłam napisać do ciebie, ponieważ wydaje mi się, że dotarłam do pewnego punktu w pracy Szkoły wspólnoty, którego nie potrafię „przeskoczyć”*. Wyjdę od mojego doświadczenia. Aktualnie jestem już na emeryturze, mam dorosłe dzieci, nie mam wnuków, mam więc możliwość przeżywania czasu zgodnie z kryteriami odpowiadającymi moim upodobaniom, tak jakbym przebywała na wakacjach. Z zawodu jestem lekarzem, zaangażowałam się więc w pomoc ludziom, którzy takiej pomocy potrzebują: np. w przygotowanie pielęgniarek, udzielanie porad itd. To, co robię, robię chętnie, nikt mnie do tego nie zmuszał, był to mój wybór. Ale potem pojawiło się pytanie: czy zadania, obowiązki, których się podjęłam, mogą nadać sens moim dniom? Odpowiedź brzmi: nie! One nie są znaczeniem moich dni, ale nawet, gdybym robiła coś innego... Nawet relacja z dziećmi każe mi powiedzieć, że ona także nie nadaje znaczenia moim dniom. Zdaję sobie sprawę, że pragnę czegoś innego, czegoś większe-

go, czegoś, co pełniej mogłoby odpowiedzieć mojemu sercu. A zatem rano, kiedy wstaję, wstaję z pragnieniem, aby to coś większego mogło mi się wydarzyć. I oto tu jawi się problem: aby Chrystus mógł być prawdziwym doświadczeniem, musi się wydarzyć teraz, musi być możliwy do spotkania teraz; ja żyję, oczekując, że wydarzy się teraz, ale nie spotykam Go w tym, czym żyję, i to wydaje mi się być pewną sprzecznością. Nie przeraża mnie odczuwane pragnienie nieskończoności, ponieważ pracując nad Szkołą wspólnoty wreszcie zrozumiałam, że dostrzeżenie jakiegoś braku jest czymś pozytywnym (ponieważ człowiek stwierdza brak czegoś, czego doświadczył i co poznał, a nie brak czegoś, czego nie zna). Powiedz mi, jak powinnam nadal pracować, aby być coraz bardziej prawdziwa?

Czy widzicie, że nie postrzegamy jako obecności rzeczy, które są obecne? Nasza przyjaciółka powiada, że dostrzega pragnienie nieskończoności. Zaczęła rozumieć, ale nie rozumie tego jeszcze aż do końca: dlaczego to pragnienie nieskończoności jest czymś pozytywnym, dlaczego? Ponieważ czegoś już doświadczyła i coś już poznała. Pragnienie nieskończoności jest pierwszym znakiem Jego obecności, ale ona nie zdaje sobie z tego sprawy. A ponieważ nie używamy rozumu zgodnie z jego naturą, nie dokonujemy tego przejścia od kontruderzenia do Ty, od źródła do strumienia, od rozpoznania pragnienia nieskończoności do potwierdzenia Tego, który tym pragnieniem nieskończoności mnie obdarza, który je we mnie nieustannie budzi (ponieważ w jej wieku, jako emerytki, wielu jest już sceptykami). Czy to, że ktoś ma jeszcze tak żywe pragnienie nieskończoności, oznacza, że my sami je w sobie wzbudzamy, czy też jest obecnością czegoś obecnego? To jest sposób, w jaki zaczynam uznawać [potwierdzać], że jest Ktoś, kto mnie nieustannie budzi. Ponieważ, jak mówiliśmy poprzednim razem, jeśli ktoś staje naprzeciw tak potężnego pragnienia nieskończoności, to musi uczciwie siebie zapytać: czy my, będąc takimi właśnie biedakami, jesteśmy w stanie sami z siebie wzbudzić w sobie to pragnienie nieskończoności, albo, czy to jest pierwszy znak Jego obecności? To zaś oznacza, że w tej kwestii mamy jeszcze bardzo wiele pracy do wykonania, o czym mówi kolejny list: „W końcu zrozumiałam trudność, która przez wiele lat mnie blokowała [a cóż to za problem?]. Ciągłe używa-

łam myślenia religijnego oraz słownictwa ruchu jako alibi, by nie pracować. Bardziej lub mniej świadomie, fakt myślenia i poznania odpowiedzi na moją ludzką potrzebę, Jezusa Chrystusa, blokował mnie w moim poszukiwaniu. Powtarzałam „Chrystus”, ale tak naprawdę Go nie szukałam. Ja już wiedziałam, i to właśnie sprawiło, że On stawał się dla mnie [oto właśnie konsekwencja] coraz bardziej obcy i „antypatyczny”, a ja wręcz przeciwnie, coraz bardziej sceptyczna, krótkowzroczna i rozczerowana [wiara pozbawiona zmysłu religijnego, wiara, która zamiast budzić zmysł religijny, spłyca go przez to, że sądzę, iż już wiem, prowadzi do sceptycyzmu i rozczerowania]. Pamiętam, jak zareagowałam kilka lat temu na tytuł Rekolekcji Bractwa: „Chrystus pociąga mnie całego, tak bardzo jest piękny”. Skrycie pytałam samą siebie: w czym, gdzie? Nie odpowiadał na moją nostalgię, a Jego roszczenie stawało się coraz bardziej nieznośne, ponieważ rozczerowywało. Pozostałam w ruchu trochę z przyzwyczajenia, ale przede wszystkim, ponieważ dzięki Niebiosom [dzięki Bogu], ty i inni przyjaciele nie przestajecie wzbudzać drżenia tego czegoś we mnie, co odkryłam jako moje najgłębsze „ja”, jako siedlisko całej mnie, i wiem, że sama nie potrafiłabym w tym wytrwać. Twoje nieustanne naleganie pomogło mi pojąć, że tu toczy się gra o coś wielkiego dla mnie, i zdecydowałam się pójść za. A idąc za naprawdę zrozumiałam, że wcześniej nigdy nie szłam za, ponieważ w gruncie rzeczy nigdy mnie nie interesowało, by odkrywać cokolwiek o sobie czy o rzeczywistości. Wystarczało mi zazwyczaj zdanie [przekonanie] innych [podobnie jak powtarzanie rzeczy, które odkrywali inni]. Ale sercu to nie wystarcza. Popatrzyłam na siebie w działaniu: co za przerażający widok: sztuczna, bez wolności w relacjach, ciągle poszukująca akceptacji [ponieważ jeśli ktoś nie odnajdzie czegoś prawdziwego, to będzie nieustannie poszukiwał akceptacji innych], bierna wobec samej siebie, bezlitosna w osądach wobec innych. Pójście za! Potraktowałam na serio Szkołę wspólnoty i jej ogłoszenia, i tak zaczęłam poświęcać swój czas na uważną lekturę tekstów i zaczęłam uczestniczyć możliwie we wszystkich proponowanych gestach. Pójście za. Potem modlitwa: zaczęłam chodzić codziennie na Mszę św., prosząc, aby On ukazał mi swoje prawdziwe oblicze. Źródłem tego wielorakiego „pójścia za” stało się, i nadal jest, szczere błaganie, aby cokolwiek ze

mnie i z rzeczywistości objawiło się mnie samej [co nas wprawia w ruch, porusza? Świadomość potrzeby: zaczynamy się poruszać (działać), kiedy naprawdę jesteśmy świadomi potrzeby]. Zderzenie-spotkanie z rzeczywistością pokazało mi moją niemoc zatrzymania tego, na czym mi zależy: nie potrafię niczego ocalić z mojego dnia, a osoby, którym dobrze życzę, które kocham, odchodzą. Jestem zmuszona szukać czegoś, co ocali mnie i moich bliskich. Takie zaangażowanie [takie zaangażowanie!] sprawiło, że mój dzień stał się interesujący, dawane sugestie – wiarygodnym punktem wyjścia: głupotą byłoby nie brać ich pod uwagę. Przeczytane lub usłyszane słowa wchodzą w dialog z moim poszukiwaniem i one stają się dla mnie towarzystwem [zaczyna szukać towarzystwa, które jej w tym pomaga]. Jeszcze się waham, ale znajduję odwagę, by z niektórymi przyjaciółmi podejmować pewne pytania, bez zbytej troski, by wyrazić się we właściwy sposób, ale by odkryć związek między Nim a mną. Odrzucam się od wyobrażenia o sobie, jakie sobie zbudowałam i odkrywam, że jestem wolna w relacjach z innymi. Przygoda zaczęła się na nowo [tak to jest: przygoda zaczyna się na nowo, kiedy pozwalamy, by charyzmat nas rodził, tzn. kiedy bierzemy go na serio, kiedy po prostu zaczynamy za nim iść]. Wszystko stało się interesujące, a chwile przestają być chaosem, stając się krokami [uwaga: chwile są krokami drogi], i odkrywam ze zdumieniem, że zaczynam patrzeć na siebie z czułością, a nie ze strachem, oraz wzrusza mnie to, że mogłabym nawet zakochać się w Tym, który sprawia, że potrafię czuć się tak dobrze sobą samą. I kiedy już do ciebie napisałam, korzystam z okazji, by poprosić cię o odniesienie się do tego [o potwierdzenie]”.

Potwierdzeniem jest całe doświadczenie, jakim ta osoba żyje. Jak powiada ks. Giussani, wiara jest doświadczeniem obecnym, w którym człowiek znajduje potwierdzenie prawdy doświadczenia, którym żyje, tak jak w przypadku tej naszej przyjaciółki. Przygoda rozpoczęła się na nowo, rzeczywistość stała się interesująca, podpowiedzi [sugestie] stają się punktami wyjścia, chwile krokami. I nie ma tu potrzeby jakiegoś „zewnętrznego” potwierdzenia ze strony autorytetu, ponieważ autorytet, pójście za, jest wewnątrz doświadczenia, którym ona żyje, co bardzo wyraźnie tutaj widać. Na początku, w pierwszej części listu, widoczne było pewnego rodzaju zewnętrzne odniesienie do

autorytetu, a to dlatego, że ona nie zaangażowała jeszcze swojej osoby, teraz [w drugiej części] widać, że autorytet jest dla niej częścią doświadczenia. Po czym to poznać? – po tym, że zmienia się doświadczenie. Widać po samym doświadczeniu. Dlaczego? Dlatego, że doświadczenie jest zupełnie inne. Jak to zawsze mówię: składniki są takie same, ale zupa jest zupełnie inna. Po czym to widać? Po samym doświadczeniu. Ona wyraziła to następująco: pójście za. Zmienia się doświadczenie. Najpierw było to kroczenie za, bez brania na poważnie propozycji – i nie, aby była przeciw, i nie, aby czyniła coś innego, po prostu, nie brała na poważnie hipotez pracy, by je weryfikować. W pewnym jednak momencie, na skutek pewnej potrzeby, jaką odczuła, zaczęła brać je na serio, i wtedy zaczęła się niespodzianka. Niespodzianka: dla niej niespodzianką jest to, że teraz rozpoczyna się przygoda, która przedtem była zablokowana. Uderzające jest czytanie waszych listów, ponieważ one lepiej niż jakiegokolwiek wyjaśnianie mówią o tym, czym jest życie. Najzwyklejsi ludzie, jak każdy z nas, którzy biorą na serio to, co sobie mówimy i zaczynają to weryfikować, zaczynają zwyciężać, odpowiadać na wszystkie rzeczy, zaczynają używać rozumu w inny sposób, przestają się chwiać [dryfować] jak wcześniej, zaczynają doświadczać pełni i intensywności dotąd im nieznannej. Mówię o tym, ponieważ w tym jest nadzieja dla każdego z nas; nie mówi tego jakaś „osobistość”, nie, ale osoba taka, jak my. Na czym polega różnica? Nie w pełnionej roli, nie w piastowanym urzędzie, nie z powodu niesionej odpowiedzialności. Ta różnica polega na tym, czy się na serio traktuje przychodzącą propozycję, a potem dzieje się już to, co wam przed chwilą przeczytałam. Ja pierwszy milknę [pozostaję bez słów] w obliczu tego, co się wydarza w osobach, kiedy te zaczynają iść za – jak to napisała nasza przyjaciółka.

Spróbuję opowiedzieć o tym, jak praca Szkoły wspólnoty rozjaśnia doświadczenie związane z moim powrotem do szkoły po rocznej przerwie. Odkryłam, że nie zredukowane używanie rozumu ma związek z nieustanną możliwością nowości i rozpoczynania na nowo w danym momencie. W pierwszych dniach po moim powrocie do szkoły byłam bardzo zatroskana: po części, ponieważ, bałam się, że nie dam sobie rady fizycznie, a trochę dlatego, że miałam wątpliwości, czy powrót do

normalnego życia nie będzie jakimś osłabieniem możliwości intensywnego przeżywania rzeczywistości. Po wyjątkowych faktach, których stałam się uczestnikiem w ciągu roku mojej choroby, bałam się, że powrót do normalności może, w jakim stopniu, okazać się czymś mniej. Kiedy potem, na poprzedniej Szkole wspólnoty powiedziałeś, że chrześcijaństwo jest poruszającym i zaskakującym sposobem przeżywania zwyczajnych rzeczy!, zrozumiałam, że już przekreśliłam [skasowałam] Dzień inauguracji roku i że znalazłam się nie tam, gdzie trzeba, i z tego powodu zaczęłam się mocno zastanawiać odnośnie do sprawy mojego powrotu do pracy. Prawdą jest, że zmęczenie narastało, jednak to każdego dnia przynaglało mnie, by weryfikować ten aspekt okoliczności, ponieważ nigdy przedtem aż tak nie zdawałam sobie sprawy z tego, że jeśli trzymam się na nogach, to wyłącznie dlatego, że opieram się na Kimś Innym, a właśnie to zauważam każdego ranka, idąc do szkoły.

Potem powoli zaczęłam obserwować siebie w działaniu, i zdałam sobie sprawę, że w porównaniu z poprzednimi latami, w tym roku wiele czynności wykonywałam w inny sposób: odpytywanie uczniów, poprawianie zadań, traktowanie niektórych, szczególnie trudnych uczniów... I zaczęłam się pytać o przyczynę tego. W minionym roku nie uczestniczyłam w kursach doskonalenia zawodowego, nie zajmowałam się metodyką nauczania, a wracając do szkoły nie planowałam żadnych zmian; wkrótce jednak odkryłam, że te zmiany – dzięki temu wszystkiemu, co widziałam – zależały od tego, że ja stałam się o wiele bardziej pewna, że kiedy wchodzę do klasy, to jest Ktoś Inny, który zwycięża, a ja jestem przede wszystkim wezwana, by to rozpoznawać. I to uwolniło mnie od wątpliwości, czy normalność może być okazją do intensywnego przeżywania rzeczywistości, a w konsekwencji pozwoliło mi nawet odczuć, że te dwie sprawy: moja choroba i moja praca, które ja rozdzielałam, były z sobą połączone. Dla mnie, bowiem, były one otwartym przeciwieństwem i nie pojmowałam, jak mogły być ze sobą powiązane.

Kolejną rzeczą, którą odkrywam jest ta, że pełne [właściwe] używanie rozumu polega, w przypadku mojej pracy, na możliwości zaczynania na nowo w danej chwili, a zatem zdarza mi się często, że w jednej chwili, w momencie, w którym

uświadamiam sobie, że ja jestem Ty-który-mnie-czynisz, otwiera się ponownie możliwość, która inaczej nie wydarzyłaby się tak łatwo. Odkrywam nadto, że nawet jeśli ja nie należę do tych, którzy w obliczu trudności łatwo się poddają, to jednak jest pewien sposób nie poddawania się, który jest wyłącznie twoim postanowieniem, doczepionym do rzeczywistości. Ale to po jakimś czasie sprawia, że się dusisz, ponieważ nawet wtedy, gdy wszystko idzie dobrze, twoje postanowienie męczy cię, wyczerpuje, i tak czy inaczej rozpaczliwie rozglądasz się za czymś innym, a w ten sposób nie patrzysz na to, co masz przed sobą, ale idziesz za tym, co ty masz na myśli. W ubiegłym tygodniu wydarzył się pewien epizod, który mnie oświecił w tej kwestii. Pewnego dnia, gdy w Rzymie miało miejsce straszliwe oberwanie chmury, dotarłam do szkoły na pół żywa, jak wielu innych rzymian, a w szkole panował nieopisany chaos (brak prądu, uczniowie, którzy docierali przemoczeni). Moją pierwszą myślą było to, że jest to dzień stracony, ponieważ w takich warunkach nie sposób prowadzić lekcje. Uświadamiając sobie jednak to, co zaczynałam mówić – a mianowicie, że w tej sytuacji nie ma nic do zrobienia – pojęłam, że mój rozum został jakby owładnięty tym oberwaniem chmury. I powiedziałam sobie: a dlaczego tych, którzy tutaj są, którzy zdołali dotrzeć do szkoły, nie należałoby potraktować jako obecność, co może mi to uniemożliwić? Od tego momentu zaczęły się dziać naprawdę piękne rzeczy, tak zwyczajnie w rozmowach związanych z lekcjami historii czy dotyczących różnych aspektów codziennej pracy w szkole. Wychodząc ze szkoły byłam bardzo zadowolona, ale nie dlatego, że udało mi się przeprowadzić lekcje, a zatem, że nie straciłam czasu, ale dlatego, że – odwołując się do twojego przykładu z poprzedniej Szkoły wspólnoty – w jakiś sposób pokonałam turbulencje: ryzyko i pragnienie potraktowania tej konkretnej sytuacji jako obecności, nawet w takie dni, w których było wiele sytuacji, które mnie raniły i które przysparzały cierpienia, pomagało mi wychodzić z nich bardziej zadowoloną. Tak więc, również w stosunku do tych spraw, których nie rozumiem i które mogłyby mi przysporzyć cierpienia, doświadczenia, którymi żyję – odnośnie do szerokiego używania rozumu – pozwalają mi być pewną, że wszak istnieje ów punkt, dzięki któremu ja jestem czyniona w każdej chwili. I to jest właśnie

to, co mnie podtrzymuje i co mnie nieustannie wyzwala.

Ale, co taka świadomość ma wspólnego z twoją chorobą? Dlaczego twoja choroba okazała się być czymś pozytywnym?

Okazała się czymś pozytywnym, ponieważ ja, w tamtej okoliczności, której sobie nie wybrałam, zdałam sobie naprawdę sprawę, że był Ktoś, kto mnie czynił w tamtym momencie i że nawet poprzez taką sytuację pozwalał mi weryfikować nieustannie moją wiarę. Widzieć, że był Ktoś, kto mi towarzyszył, zmieniło mnie, ale zmieniło mnie nie tylko wobec choroby, ale także w rzeczach odnoszących się do pracy.

Kiedy mówimy, że okoliczność jest pozytywna, mówimy właśnie o tym, co więcej, mówimy także, że to czyni nas jeszcze bardziej sobą, do tego stopnia, że możemy przeżywać naszą normalność inaczej niż przedtem. Okoliczność nie jest jedynie czymś przejściowym, co musimy znosić, jest natomiast czymś, co wprowadza nowe spojrzenie na mnie, do tego stopnia, że mogę zacząć prowadzić lekcje w inny sposób i że mogę stawiać wobec normalności bez tego samego, co zwykle redukcja jej, ponieważ choroba (bądź jakakolwiek inna trudność) zmusza mnie, aby nie zatrzymywać się na powierzchni, lecz aby tak używać rozumu, by móc żyć w bardziej prawdziwy sposób. A to, że ktoś się tego nauczył, da się zauważyć w tym, że po upływie jakiegoś okresu, osoba ta nadal używa rozumu w odmienny sposób: nowy sposób trwania w rzeczywistości stał się jej właściwym.

W ostatnim czasie zdarzało mi się często zdawać sobie sprawę z rzeczy będących obecnością. Np. przygotowuję doktorat; jest ze mną taki jeden, który pisze magisterium, a ma on pewien sposób postępowania, którego nie cierpię. W pewnym momencie, jednak, zamiast patrzeć na niego, oczekując, aby robił to, co mu powiedziałam, zatrzymałam się i uświadomiłam sobie, że on tam był i że te wszystkie rzeczy, którymi on się interesował, a które mnie może mniej zajmowały, mogły być okazją również dla mnie, by uczyć się od tego, co jemu się podoba. Jednakże nic nie zrobiłam, aby znaleźć się w takiej sytuacji, i stąd moje pytanie jest następujące: jaką pracę winnam wykonać, by ciągle zdawać sobie sprawę z rzeczy jako obecności? Co znaczy wychowywać rozum, by ten otwierał się na język bytu? Zastanawiając się nad tym przytrafiło mi się coś, co może po części pomogło

mi zrozumieć odpowiedź, mimo to chciałabym cię prosić o pomoc. Wczoraj, jadąc metro, czytałam tekst z Inauguracji roku pracy; w pewnym momencie do kolejki wszedł jakiś człowiek, który grał na akordeonie. Ja zaczęłam sobie myśleć tak: no, popatrz na niego, wchodzi właśnie tutaj, ja sobie czytam, a on mi przeszkadza. W pierwszym momencie mimo wszystko starałam się skupić nad tekstem. Jednak po chwili pomyślałam sobie: zaraz, ale, co tutaj mówi Carròn? – mówi, by traktować rzeczy istniejące jako obecne, a ja owe go człowieka w ogóle nie biorę pod uwagę; zatem odrywam oczy od tekstu i zaczynam go słuchać. Wydaje mi się, że podejmowanie na serio pracy Szkoły wspólnoty, w jakiś sposób, pomoże mi patrzeć na rzeczy jako obecne, jednak chciałabym zrozumieć, czy jest coś innego, czy to jest to i czy jest coś innego.

Tak się dzieje, kiedy nie zatrzymujemy się na powierzchni. Co znaczy potwierdzać rzeczy obecne jako obecność? Czyż nie to, że jakiś liść, który tu jest i tobie nie przeszkadza – a skoro nie przeszkadza, to nie może nawet przymusić cię do wykonania jakiejś pracy, ponieważ nie dokucza ci, nie przeszkadza – woła o obecność? Obyśmy zaczęli przynajmniej dostrzegać rzeczy obecne, nie traktując ich z góry za oczywiste, lecz starając się z nimi utożsamić, aby doświadczyć, czym mogłoby stać się życie, gdyby zacząć sobie z tego zdawać sprawę, a nie uznawać niczego, ale to niczego, z góry za oczywiste, nie wiem co, ale właśnie nic! Obyśmy mogli patrzeć na rzeczy obecne jako na obecność. W miejsce liścia włożcie jakąkolwiek inną okoliczność, jakąkolwiek bolesną, jakąkolwiek tłamszącą, i również w takiej sytuacji próbujcie patrzeć na rzeczy obecne jako na obecność. Kiedy jesteście przygwożdżeni albo dusicie się, czy rzeczy nie są obecne? Gdybyśmy patrzyli na rzeczy obecne jako na obecność, jakąż ulgą mogłoby to być w chwili, w której czujemy się przytłoczeni! Jeśli my tego nie dostrzegamy, to kto każe nam to robić? Jeśli my nie zauważamy, co moglibyśmy w życiu zyskać, wykonując pracę proponowaną nam przez ks. Giussaniego – która, jak widzicie, jest tym samym, co proponuje nam Papież – to nigdy nie zmniejszymy dystansu, jaki odczuwamy między nami i ich troskami wychowawczymi, to niesamowite! Nam bowiem natychmiast przyszłoby na myśl, że najważniejsza jest jakaś inna rzecz, oni jednak nieustrudzenie naciskają na tę kwestię.

I my właśnie z tym mamy najwięcej problemów, dlatego też, jeśli dzięki przykładom i świadectwom, które przytaczam, nie zaczniemy przynajmniej zauważać tego, co te osoby, by zobaczyć, co to mogłoby oznaczać dla naszego życia, to kto każe nam to robić? Dlatego, jak powiedzieliśmy w Dniu inauguracji roku, jeśli się dusisz, to dlatego, że jesteś pozytywistą. Kropka. Dusisz się? Nie wściekaj się na okoliczność, nie wściekaj się na swego męża czy żonę, nie wściekaj się na pracodawcę, nie wściekaj się na cokolwiek poza tobą! Dusisz się? Jesteś pozytywistą! Ponieważ szef jest taki, jaki jest, żona jest taka, jaka jest, pracodawca jest, jaki jest, albo jakaś okoliczność jest właśnie taka, jaka jest, jednak żadna z tych rzeczy nie może mi przeszkodzić [utrudnić, zabronić] przeżywać daną okoliczność w sposób nie pozytywistyczny, i zaczynamy oddychać; w przeciwnym razie, jedyną rzeczą, którą mogę zrobić to mieć nadzieję, oczekiwać, wyglądać, że coś się wydarzy... Nie, ja teraz mogę zacząć przeżywać każdą okoliczność w inny sposób, ponieważ to jest nowość, którą wprowadził Chrystus. On wprowadził nowość w życie, pozwalającą mi używać rozumu zgodnie z jego prawdziwą naturą, a zatem, jak mówi ks. Giussani, mogę zacząć patrzeć na rzeczy obecne jako na obecność. Bez tego, gdzie odnaleźć jakąś ludzką korzyść wiary? A skoro nikt nam nie obiecał, że zostanie nam zaoszczędzony trud, który współdzielimy z wszystkimi ludźmi, to, czy nie tracimy czasu, przybywając tutaj dzisiejszego wieczoru? Nie, jeśli jesteśmy tutaj po to, by sobie nawzajem pomagać i wspierać się w używaniu rozumu w taki sposób, by przeżywać rzeczywistość zgodnie z jej prawdziwą naturą. Powiedział Papież: rozum i natura we wzajemnej korelacji, ponieważ jedynie rozum w korelacji z rzeczywistością nie daje się zredukować, a rzeczywistość w korelacji z rozumem przestaje być tłamsząca. Bez tego żyjemy tak jak wszyscy, a chrześcijaństwo jest jedynie jakimś dodatkiem, który nie zmienia, jak mówiłaś, normalności. My jednak widzieliśmy kogoś, kto w wieku osiemdziesięciu lat potrafił krzyczeć o pozytywności rzeczywistości, a wszyscy wiemy, jak bardzo cierpiał. Tego typu świadectwo może spowoduje jakąś rysę [jakieś pęknięcie] w naszym monolitycznym przekonaniu, że nic nie da się zmienić! Powoduje je także pragnienie kroczenia tą drogą. Musimy wspierać się w błaganiu, by ta intuicja stała się skuteczna,

abyśmy i my, jak ks. Giussani, mogli oddychać w każdej sytuacji.

Kolejna Szkoła wspólnoty odbędzie się **9 listopada**, o godz. 21.30. Pracować będziemy nad nastym rozdziałem *Zmysłu religijnego*, do którego nawiązywaliśmy w ubiegłym roku podczas Rekolekcji Bractwa, i do którego teraz możecie powrócić.

Jak widzieliście, na stronie CL ukazał się dokument będący osądem obecnej sytuacji, osąd Ruchu: „Kryzys wyzwaniem dla przemiany”. Jest to dokumentacja tego, o czym ostatnio mówimy, tzn. próba patrzenia na rzeczywistość, mając za punkt wyjścia to, co powiedzieliśmy tego wieczoru: nie możemy mówić, że rzeczywistość jest pozytywna w obliczu gór, gwiazd..., jeśli tego samego nie potrafimy powiedzieć w obliczu kryzysu! Otóż, co tak ważnego komunikuje ten tekst [dokument]? Już zaczynamy odbierać pierwsze reakcje na niego: „*Osąd na temat kryzysu, dotarł niczym świeże powietrze. Wreszcie jakaś konkretna pomoc w patrzeniu na tę sprawę, która jak dotąd nie dotknęła mnie jeszcze osobiście, ale uderza w różne osoby wokół mnie i która złowieszczo zarysowuje się na horyzoncie. Nade wszystko wydaje mi się, że jest to bardzo przejrzysty przykład tego, co znaczy wpatrywać się w obecność rzeczy obecnych. To, że kryzys jest, wiemy wszyscy, ale zazwyczaj ja od razu przechodzę do konsekwencji: co robić, jaką obrać strategię, jak skutecznie działać..., to zaś oznacza, że przeskakuję coś, co jest, fakt, który mam przed oczyma i nie poznaję jego prawdziwej natury. Natomiast w tym dokumencie incipit, tzn. punkt wyjścia jest jasny [oto wyzwanie: rzeczywistość jest pozytywna, po pierwsze dlatego, że angażuje [porusza] osobę; wyprzedzając wszelkie strategie: kryzys jest faktem, który mnie angażuje, zatem staje się okazją]. W grupie Szkoły wspólnoty, kiedy pracowaliśmy nad tym dokumentem, po długiej dyskusji stało się jasne, że w obliczu kryzysu możliwe są dwie reakcje. Pierwszą z nich, to reakcja tych, którzy postrzegają kryzys jako okazję: rzeczywistość jest w najwyższym stopniu pozytywna i zaczynamy się angażować. Drugą możliwość prezentują ci, którzy reagują złością i buntem [wyjście na ulice, by kamieniami protestować przeciwko bankom]. W pewnym momencie dyskusji, któryś z przyjaciół zapytał: na czym polega różnica między tymi dwiema reakcjami? Z czego bierze się taka postawa, jaką prezentuje*

ten dokument o kryzysie? To pytanie wydało się mi być bardzo ważnym, nade wszystko dlatego, że odsłoniło wiele z moich redukcji. Choć miałam na uwadze niektóre fakty, pomagające mi odkrywać w sobie postawę otwartości na rzeczywistość, którą miałam przed sobą, w tamtym momencie, w obliczu pytania naszego przyjaciela, z pewnością spróbowałabym odpowiadać jakimiś teoriami. W głębi jednak dotarło do mnie, że w ten sposób sprowadziłabym kwestię do różnicy na poziomie psychologicznym; a tymczasem to pytanie okazało się być także moim”.

Często myślimy [uważamy], że praca nad dziesiątym rozdziałem *Zmysłu religijnego* jest rodzajem introspekcji psychologicznej – czyśmy zwariowali? Czyż nie mamy nic innego do roboty? My mówimy o naturze rzeczywistości, a nie o introspekcji psychologicznej! Mówimy o naturze, o rzeczywistości i o ja. My jednak słowa ks. Giussaniego: „Zejść w głąb własnego bytu” mylimy często właśnie z pewnym rodzajem introspekcji psychologicznej – by powiedzieć, że jesteśmy rzeczywiście „poza” sobą; my, nie inni!

A zatem, co jest istotą rzeczy, jak czytamy w tym liście, najbardziej rewolucyjną i decydującą kwestią dokumentu „Kryzys wyzwaniem dla przemiany”? Właśnie na początku, gdzie proponuje się i wprowadza w czyn zmianę perspektywy pojęcia, będącego treścią dziesiątego rozdziału *Zmysłu religijnego* i Dnia inauguracji roku: pozytywność rzeczywistości. Ale jak można było uchwycić w pierwszych wypowiedziach, dla tych rozmówców, rzeczywistość wcale nie jest pozytywna, o czym świadczy fakt, że zaledwie coś się zdarzy, zaraz pojawia się niepewność, wątpliwości czy huśtawka [dryfowanie], które widzieliśmy; wskutek czego usiłuje się przed nią uciekać, przeklinać ją, obwiniać, może nawet uciec od niej daleko, nie negocjować jej, a jeśli to nie jest możliwe, ukryć się. Oto więc prawdziwe wyzwanie: dlaczego możemy twierdzić, że rzeczywistość jest pozytywna? Dlatego, że jeśli nie możemy powiedzieć tego z przekonaniem, w obliczu kryzysu, pozostajemy bez słowa, niemi! Dołączymy do orszaku narzekających – mam nadzieję, że nie do tych, co rzucają kamienie – ale do narzekających, owszem. Tu jednak widzimy, że nie staniemy się obecnością, jeśli – zarówno osobiście, jak i wspólnotowo – nie stawimy czoła wyzwaniu rzeczywistości, wyzwaniom kryzysu. W przeciwnym razie wobec

kompanów, kolegów, przyjaciół, których mamy, a którzy już stracili pracę albo przeżywają różne trudności, nie otworzymy ust, ponieważ nie wiemy, co powiedzieć. To więc to, nade wszystko, jest nagłące w każdym z nas. Dlaczego my możemy twierdzić, że rzeczywistość jest pozytywna? Uwaga! Tu nie chodzi o jakąś „katolicką” interpretację rzeczywistości, w takim sensie, że: skoro mamy jakiś punkt wyjścia, jakąś wcześniej ustaloną ideę, jakieś uprzedzające pojęcie religijne, interpretujemy rzeczywistość jako pozytywną nawet, gdy ta w rzeczywistości jest negatywna i z tego powodu nie możemy tego mówić wszystkim, ponieważ nie wszyscy współdzielą z nami wiarę. Inni natomiast, którzy nie mają takiego punktu wyjścia i mogą sobie pozwolić na powiedzenie, że rzeczywistość jest negatywna, czyli mogą nazwać chleb chlebem, a wino winem dlatego, że nie są zmuszeni przez ich ideologię. Nie! To jest wyzwanie: nie chodzi o to, by „ochrzcić” rzeczywistość, ale aby potwierdzić ją w jej prawdziwej naturze. Stąd też jest to naprawdę weryfikacja tego, co mówimy, ponieważ, kiedy czytamy dziesiąty rozdział *Zmysłu religijnego* albo przeżywamy Dzień inauguracji roku, to uważamy, iż są to momenty „wewnętrzne”, dla wybranych, dla tych, którzy w owczarni już są przekonani, ale tego samego nie możemy powiedzieć o rzeczywistości, o niej musimy mówić coś innego. Teraz jednak opublikowaliśmy osąd, w którym mówimy te same rzeczy w odniesieniu do rzeczywistości: a zatem mają one sens czy też nie mają? Ponieważ jeśli one nie mają sensu, to nie ma sensu nie tylko osąd wydanego dokumentu, ale nie ma sensu także inauguracja roku, nie ma sensu dziesiąty rozdział *Zmysłu religijnego*; czy to jest jasne? To jest zatem wyzwanie, jakie ks. Giussani i Papież rzucają nam, to jest właśnie walka: czy osąd, iż rzeczywistość jest pozytywna, jest czy nie jest prawdziwy? Czy rozumiecie, że tego nie da się rozwiązać zwyczajnie poprzez nasze plotkowanie i przez sentymentalne towarzystwo, albo przez takie bycie razem, które oszczędza nam właściwego używania rozumu. Nie znaczy to, że winniśmy to czynić indywidualistycznie; musimy sobie w tym towarzyszyć, ale towarzyszyć w taki sposób, by to stało się osobiste, każdego z nas. W przeciwnym razie nie zdołamy stawić czoła kryzysowi. Dlatego my niczego nie chrzczymy, w grę bowiem wchodzi potwierdzenie rzeczywistości w jej ostatecznej natu-

rze, dokonane przez rozum. To wszystko, co istnieje, co się wydarzyło, co Tajemnica dopuściła, by się wydarzyło – wszystko bowiem ma swoje źródło w owym Ty –, przez to, że się wydarzyło, jest prowokacją dla naszego życia, tzn. zaproszeniem do przemiany. Jest okazją postawienia kroku ku przeznaczeniu, jest dla nas, jest drogą, narzędziem naszej wędrówki, jest znakiem, powiedzmy to: rzeczywistość jest znakiem. Taka jest ostateczna natura rzeczywistości, to zaś, co kryzys stawia przed nami wszystkimi, jest jakimś wyzwaniem dla nas i dla innych, wyzwanie bowiem jest dla wszystkich.

W dokumencie jest mowa o tradycji hebrajsko-chrześcijańskiej, w której rzeczywistość pojmowana jest jako ostatecznie pozytywna. Czy to oznacza, że jest coś, co my „dodajemy” siłą naszej tradycji? Nie! Jest natomiast tak, że nasza tradycja, nasza wiara, budząc zmysł religijny, budząc nasz rozum, naszą zdolność do trwania w rzeczywistości i do traktowania rzeczywistości zgodnie z jej ostateczną naturą, pozwala nam pojmować rzeczywistość jako pozytywną, właśnie dlatego, że jest pozytywna: fakt, iż wiara budzi zmysł religijny pozwala nam pojmować rzeczywistość zgodnie z jej prawdziwą naturą. Ona bowiem jest pozytywna ontologicznie. Natomiast problem tkwi w tym, że my wobec stwierdzenia: „Rzeczywistość jest pozytywna” ulegamy pokusie jego sentymentalno-moralistycznego rozumienia, tak jakby słowo „pozytywna” miało oznaczać upragnioną albo przyjemną. A skoro istnieją okoliczności, fakty, które nie mogą być uważane za upragnione czy przyjemne, wówczas wydaje się nam, że się oszukujemy, że gramy nieczysto, mówiąc, iż rzeczywistość jest pozytywna. Dlaczego? Dlatego, że jeśli nie dojdziemy do zauważenia obecności w istniejącym liściu, albo potraktowaniu choroby jako obecności, bądź widzenia czegośkolwiek jako obecności owego Ty, które stoi u początku, to nie możemy mówić, że jest pozytywna, jak mi niedawno powiedział jeden z przyjaciół, opowiadając o Marku Simoncelli, motocyklicie, który zginął podczas zawodów. Wobec pewnego rodzaju żartu, rzucenego przez kogoś na temat zmarłego, obecna tam siostra zakonna, zapytała: „Czy to, że ktoś umarł jest nieszczęściem, czy może jest szczęściem fakt, że ktoś osiągnął już metę?”. W sposobie reakcji na jakieś nieszczęście odsłania się cała nasza postawa. To nie jest tak, że człowiek go pragnie – nie

znamy zamysłu Bożego – ale, czy jesteśmy pewni, że on osiągnął metę, czy też sądzimy, że miał pecha? Jeśli nie mamy odpowiedzi dla Marka Simoncelli, to nie mamy też odpowiedzi ani dla nas, ani dla naszych bliskich, ani dla naszych chorych. Rzeczywistość jest pozytywna przez to, że jest. Jako taka, rzeczywistość jest prowokacją, jest znakiem, a zatem okazją zmiany, obudzenia się z jego otępienia, jak mówiła wcześniej nasza przyjaciółka nauczycielka: choroba może być okazją do przebudzenia się, które przynosi nieoczekiwane, zaskakujące – jak to widzieliśmy – owoce. Co jednak zakłada tego typu potwierdzanie rzeczywistości? Zakłada rozum, używanie rozumu zgodnie z jego prawdziwą naturą poznawania rzeczywistości w całości jej czynników; prawdziwe i pełne używanie rozumu, ponieważ rozum – jak sobie mówiliśmy – uczyniony jest po to, by ujmować rzeczywistość jako fakt drżący atrakcyjnością, jako prowokacja i jako zaproszenie. Jednak z powodu naszej kruchości i wskutek uwarunkowania kontekstem, z powodu władzy, która nas otacza, takie używanie rozumu, często, jak słyszeliśmy w jednym z listów, jest dla nas obce. I to jest właśnie wkład, jaki przez swoje przyjście dał nam Chrystus. Skoro zaś jesteśmy w tej sytuacji, Chrystus stał się człowiekiem, przybrał ciało nie po to, by zaoszczędzić nam tej pracy rozumu, ale po to, by stać się towarzyszem drogi, by pobudzić wszelkie możliwości rozumu, aby potwierdzić rzeczywistość taką, jaką jest. Kiedy ks. Giussani mówi, że Chrystus przyszedł, jak to powiedzieliśmy 26 stycznia, aby przebudzić zmysł religijny, to stwierdza, że przyszedł po to, aby pomóc nam stać się ludźmi w taki sposób, byśmy mogli patrzeć na rzeczywistość zgodnie z jej prawdziwą naturą, nie będąc wizjonerami. Otóż, jeśli my tak postąpimy, to będziemy mogli rozmawiać ze wszystkimi, w przeciwnym razie będziemy dialogować tylko ze swoim pępkiem we własnym domu, gdyż będziemy się bać rozmawiania z innymi. Dlatego nie traćmy z pola widzenia, że nadal kroczymy drogą wytyczoną 26 stycznia; teraz widzimy, dlaczego tak przeżywany zmysł religijny (którego wyraźnym znakiem jest rozum i kolejnym znakiem jest rzeczywistość) jest sprawdzianem wiary, ponieważ jeśli my wobec tych sytuacji nie przeżywamy rzeczywistości w jej prawdziwej naturze, to oznacza, że wiara, nasza wiara, jak powiadał ks. Giussani, pozbawiona jest zmysłu religijnego, jest wia-

ra, która nie potrafi przebudzić człowieczeństwa. A kogo obchodzi wiara nie będąca w stanie obudzić człowieczeństwa, która nie ocala człowieczeństwa? Taka wiara, bardziej niż pomocą, staje się przeszkodą. Dlatego interesuje nas podjęcie weryfikacji także wobec tego dokumentu, będącego pomocnym narzędziem do angażowania się w rzeczywistość i dokonywanie tejże weryfikacji nie tylko na Szkole wspólnoty, ale właśnie w rzeczywistości, angażując się ze wszystkimi w kwestii kryzysu. Stąd też chcielibyśmy wykorzystać ten dokument w celu publicznej batalii kulturowej CL, jako sposobu trwania w rzeczywistości, by zaoferować jakiś wkład naszym kolegom, przyjaciółom, aby dzielić się z nimi nadzieją, która jest w nas, nadzieją, która nie może być rozumnie wnoszona w ten kontekst, jeśli nie za pomocą właściwie używanego rozumu. Nie staniemy się wiarygodni jedynie dzięki temu, że jesteśmy „pobożni”, ale stając się naprawdę ludźmi, poprzez używanie rozumu, tak, jak dokonał tego Papież, idąc do Parlamentu niemieckiego, rzucając wszystkim wyzwanie poprzez odmienne użycie rozumu. Nasz wkład, bowiem, tylko wtedy będzie miał znaczenie, gdy inteligencja wiary stanie się inteligencją rzeczywistości, w przeciwnym razie, nawet jeśli nie poślą nas do więzienia, to i tak będziemy osobami mało znaczącymi dla innych ludzi. Tego rodzaju zadania nie da się zrealizować w krótkim okresie czasu, stąd będzie nam ono towarzyszyć w kolejnych miesiącach. Ten dokument został pomyślany jako pomoc dla nas samych i dla wszystkich, których spotkamy, by odnajdywać właściwe racje do przeżywania kryzysu będącego wyzwaniem do przemiany, oraz, by wciąż na nowo ożywiać nadzieję, że nawet w kryzysie istnieje dla każdego jakaś szansa. A tę nadzieję możemy nieść tylko my, my jako chrze-

ścianie, ponieważ widzicie, co się dzieje w wielu innych ludziach. Osąd zawarty w tym dokumencie jest następujący: poryw [impet] kogoś jednego jest dobrem dla wszystkich, ponieważ energia ludzkiego ja nie wyczerpuje się sama w sobie, ale buduje lud. A historia Włoch jest znakomitą potwierdzeniem tego, co mogliśmy zobaczyć na wystawie *150 lat pomocniczości*; w historii Włoch, w znacznie gorszej sytuacji niż obecna, były osoby, które się jednoczyły i które zbudowały Włochy. Widzimy, że to było możliwe. To, co my proponujemy, jest jak najbardziej realistyczne, doświadczenie owych 150. lat pokazuje, iż było to bardziej realistyczne niż jakakolwiek teoria. Dlatego różne gesty publiczne, promowane wprost przez ruch, mogą zostać łączone ze wspomnianą wystawą.

W **piątek 4 listopada** odbędzie się w Mediolanie – w **Mediolanum Forum Assago** – pierwsze spotkanie, mające na celu podzielenie się na szerszym forum treścią dokumentu na temat kryzysu. Niech to będzie także przykład dla wszystkich i sugestia pewnej inicjatywy, do podejmowania której zachęcamy, by proponować ją wszędzie, gdzie się da. Niech to będzie przykład, jak każdy z was, w swoich wspólnotach, mógłby podobny gest zaproponować, w sposób, który uznacie za najbardziej korzystny.

Dostępne są na App Store pliki zielonego śpiewnika *Canti* na iPhone’a, na iPoda oraz iPod’a touch. Wkrótce dostępny będzie także modlitewnik „Il libro delle ore”.

Kończymy nasze spotkanie modlitwą w intencji naszego spotkania jutro [tzn. 27 X] z Ojcem Świętym oraz w intencji spotkania w Asyżu z przedstawicielami różnych religii.

Przyjdź Duchu Święty, przyjdź przez Maryję.